

KLASYKA MNIEJ ZNANA



Michał Dymitr Krajewski

PODOLANKA

universitas

PODOLANKA

wychowana w stanie natury
życie i przypadki swoje opisująca

K L A S Y K A M N I E J Z N A N A

Michał Dymitr Krajewski

PODOLANKA

Kraków

© Copyright by Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków

ISBN 97883-242-1072-5
TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

www.universitas.com.pl

DEDYKACJA

Dedykacja jest to rozumna przymówka autora, aby co wziął za to, że napisał książkę. Tę część wymowy składały przed tym herbarze; dziś jej ustawy na tym się zasadzają, aby wystawiając wielkie cnoty, a nade wszystko szczodroblliwość mecenasu, dać mu jak najlepiej poznać, ile cenić powinien uczoną pracę, na której się imię jego mieści.

Częstokroć jednak wdzięczność za odebrane łaski bywa powodem autorowi, aby się dedykacją wypłacił. Wdzięczność jest to piękny przymiot duszy, osobliwie gdy oświadczenie jest nową przymówką, aby wam więcej czyniono.

Kiedy mniej było autorów, bardziej ich poważano i hojniejsi byli mecenas, ujęci nadzieją, iż ich imiona przejdą z książką do potomności. Teraz niejednen z literatów utyskuje na to, że próżno w dedykacji wysławiał szczodroblliwość. Aby bez zawodu przypisać książkę, trzeba by wprzód wniknąć w interesa i poznać dobrze możność i hojność protektorów. Autorowie dzisiejsi spuszcza się na los; nic dziwnego, że kredytorem czekają długo przed pokojem i z równym nieukontentowaniem, jak tamci, powracają do domu.

Nie chcąc doznawać podobnego niesmaku, chwalić darmo nikogo nie myślę i dlatego nawet na czele dedykacji mojej nie kładę żadnego imienia.

PRZEDMOWA

Kto ma mało do mówienia, a chciałby długo gadać, nie zaraz zaczyna od rzeczy; dlatego i ja kładę przedmowę. Ta bywa pospolicie najnudniejszym rozdziałem

książki, bo w niej autor to tylko pokazuje, że ma wielki przymiot wieku naszego gadania długo o niczym.

Przedmowy i książki są jak materie fabryczne, które coraz bardziej w podlegszym wychodzą gatunku. Od tego czasu, jak kilka tylko głów dobrze myśleć poczęło, upadł handel głodnych autorów, bo zepsuł się czytelnik, tak jak smak zwykł się psować po dobrym obiedzie, iż krzywo patrzemy na niesmaczne potrawy.

Wywiędły literat trzyma długo rozumny swój towar. Nie mogąc się go pozbyć narzeka na los ludzi uczonych, a jeżeli znajdzie jaki sposób docięśnienia się do druku, zachwala jak może w przedmowie, obiecując coś pięknego i nowego w swej książce. Co do mnie, nie zaostzam ciekawości czytelnika mego, ani się chwale, ani upokarzam, ani nawet narzekam na to, jakoby przyjaciele moi wykładali mi to pismo, albo księgarze mimo wiedzy podali je do druku. Pisałam i kazałam sama drukować, tak jak ci wszyscy robią, których skromność żali się na niedyskretnych przyjaciół i na łakomych księgarzów. To zaś było mi największą pobudką, iż książka jest jak płęć nasza; nie każda z kobiet wszystkim podoba się, ale każda najdzie takiego, który się dziwi jej wdziękowi.

Gdybym chciała mieć wiele czytelników, dosyć by było położyć przy tytule książki, że jest zakazana. Młodzież, która takie tylko książki czyta, poszłaby jak na lep do mnie, ale nadto jestem szczerą. Ostrzegam, iż kto lubi gorszące książki znudzi się nad moją, bo w niej nic nie znajdzie, co by go zepsuło. Jakokolwiek bądź, nie mam jednak serca spalić co się napisało. Jeżeli czytelnik poziewać będzie, wolno mu też samo uczynić, co by zrobił z kompanią, która go nudzi. Chociaż przyrównałam książki do płci naszej, wolność jednak w obraniu nie czyni takiej zazdrości jaka między nami bywa. Niechajże mądrzy nie narzekają na wielość książek. Chcieć, aby samym tylko dobrze myślącym wolno było pisać, jest to zakładać monopol na rozum.

Świat uczony podzielić można na kilka milionów ludzi, którzy piszą i rozumieją, iż potomność wystawiać

im będzie kolosy, na kilka tysięcy, którzy te pisma drukują i sprzedają i na kilkaset, którzy je czytają. Chce się każdy zabawić, zrobi się książka; trzeba nauczyć kogo, zrobi się druga, trzeba poradzić, pocieszyć, zrobi się trzecia i czwarta; trzeba kogo pochwalić, albo poganić zrobi się piąta; trzeba jeść, a rękami nie chce się pracować, zrobi się szósta, siódma i dziesiąta.

P. Joung w nocach swoich, rad by z niektórymi książkami też samo uczynić, co się stało z biblioteką Aleksandryjską. Prawda, że tym sposobem prędko by się świat mądry wyczyścił, ale chęć pisania będąc chorobą w ludziach, trzeba by co wiek, a może i prędzej nowe zapalać stosy. A do tego kraj nasz nie tak był łatwy jak insze w paleniu pisma i ich autorów. Nie ma więc lepszego sposobu jako je zostawić molom, czas to zagrzebie w pleśń, tak jak kalendarze, które z rokiem ustają.

Przy takiej ustawicznej odmianie i konsumpcji książek, niechaj się nie dziwi czytelnik, że tylko tytuły ich znajdują odmienne. Autorowie nasi przepisują jedni drugich, a inszy porządek słów, który dają cudze rzeczy, inszy początek albo koniec czyni inszą kombinacją, a zatym inszą książkę. Ja sama wyznaję, iż pisząc o sobie, wiele myśli brałam z jednego bezimiennego autora i z inszych książek. Niech sądzi czytelnik żem dosyć szczerza, bo pospolicie o tym się nic nie mówi. A chociaż książka moja jest jak Fedra kawka przybrana w cudze pióra, może jednak będzie jeszcze taki, który ją i z własnych nawet piór odrze, a sobie przyprawi.

Jaki by był człowiek zostawiony samej naturze, jest pytanie równie pożyteczne, jak to, o co się długo mędracy kłócili, aby wiedzieć, jaki by był rodzaj ludzki, gdyby był Adam nie zgrzeszył. Wiek nasz porzuciwszy szkolne spory o tym, czego nie rozumiał, albo wiedzieć nie mógł, ma jeszcze ciekawość badania, czyli człowiek zostawiony samej naturze chodziłby jak zwierzęta na czterech nogach, albo czy by go włos okrywał jak niedźwiedzia i małpę i byłby lepszy od ludzi żyjących w społeczeństwie. *Orang-outangi i pongosy*¹ są bohatyrowie wielu pism wieku naszego. Mędracy dowodzą, iż te stworzenia są godni przodkowie nasi. Czytając o tym zacnym rodzeństwie pismo, którego autor² maluje człowieka w stanie natury, nie byłam kontenta z wyprowadzenia rodu mego. Wychowana na osobnym miejscu i po większej części zostawiona naturze, umyśliłam opisać przypadki moje. Wiele ludzi pisało o sobie; i chociaż to tylko czytamy, co chcieli aby nas doszło, ukrywając co naganego było, przekonany jednak będzie czytelnik, iż wstyd bynajmniej by mię nie wstrzymał wyznać, że byłam *pongosem*, albo *ourang-outangiem* chodzącym na czterech nogach, gdyby prawda była, co mędracy nasi piszą.

Urodziłam się na Podolu, w tej części województwa, która odpadła od Polski. Chłopka daleko od wsi mająca chatę, karmiła mię do lat dwóch skończonych, pilnie przestrzegając tego, abym nigdy nie słyszała mówiących. Przyszedszy do rozumu, obaczyłam się w wielkiej piwnicy z dzieciuchem jednego prawie co i ja wieku. Ta piwnica była murowana, wokoło obita blachą żelazną, mając cztery okna u góry, przez które tyle wchodziło światła, ile potrzeba było, aby dobrze rozemnać rzeczy.

Poczwara jakaś, skórą twarz i ciało okryte mająca, raz na dzień wchodząc do nas na czterech nogach, nauczyła nas w dzieciństwie szukać pożywienia w koszyku, który się spuszczał z góry. Napój mieliśmy w wannie, która także co dzień podnosiła się i spuszczała z odmienioną wodą.

Przepędziliśmy wiek nasz dziecinny skacząc, biegając i igrając z sobą. Największa radość była natenczas, kiedy się spuszczał koszyk. Mogliśmy już wzajemnie myśli nasze tłumaczyć. Niewielkie poznanie, mało potrzebowało słów do wyrażenia myśli. Skłonienie różnej głową, oczami, rękami i nogami były mową naszą, a czego temi znakami trudno było okazać, głos formował słowa po prostu wydane z gardła, których ułożenie było na kształt niemiłego pisku niektórych zwierząt.

Młodzieniec, któregom nazywała Ao, co znaczyło w naszym języku kochanek, przyszedłszy do lat około dwudziestu począł mi oświadczać przyjaźń swoją. Coś nas zastanawiało patrząc na siebie, ale serca nasze czyste nie znajdowały nic nieprzystojnego w tym, co nam dała natura. Podobni do owych dzieci, które żyjąc w stanie niewinności nie znają jeszcze wstydu, bawią się z sobą i z matką, biją się wzajemnie i takie żarty robią, jakie by obrażały ludzi, którym wstyd i poznanie każe odwracać albo mrużyć oczy.

Wielkie pomieszanie sprawowałam memu Ao, który wzajemnie czynił mi czasem niespokojną. Czegoś nam nie dostawało do naszego uszczęśliwienia. Ja często zbłądłam, a biedny Ao zdawał się smutny. W tym stanie będąc raz dłużej przystąpił Ao do mnie i począł mi nad zwyczaj przyjaźń swą oświadczać. Porzuciłam go, widząc, iż koszyk (co się dotąd nigdy nie trafiało), drugi raz dnia tego spuszczał się. Zamiast pożywienia znaleźliśmy wodę rumianą, która była tak słodka i smaczna, żeśmy ją oboje wypili. W krótkim czasie sen nas nadzwyczajny opanował. Obudzona nazajutrz obaczyłam piwnicę kratą przez środek przedzieloną i nas odłączonych od siebie. Ta odmiana trwogę jakąś w oboj-